

# ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XVIII.

Warszawa, dnia 26 czerwca 1926 roku.

Nr. 26.

WACŁAW SIERSZEWSKI.

(Z cyklu „Na Szlakach Świata“)

## 7) ZA KOŁEM BIEGUNOWEM.

Opuszczając pamiętną dla mnie jurkę, miałem możliwość obejrzenia łańcucha gór Tas-chajach-tachu w całej ich krasie. Było południe i słońce oslepiającym blaskiem oblewało śnieżny krajobraz, nad którym wznosiło się biegnące ze wschodu na zachód pasmo szczytów wysokich, wspaniałych, lotnie spiętrzonych, pociętych błękitnymi cieniami urwisk i żlebów. Na tle mocno szafirowego nieba te lekkie, powietrzne olbrzymy robiły wrażenie istotnie jakiejś mlecznej, skamieniałej gigantycznej piany. W górach tych nikt nie mieszka i nikt ich nie zna; nawet tunguzi rzadko je odwiedzają, lecz opowiadają dziwy o widzianych tam skarbach i cudach.

W dalszej drodze powróciliśmy na zwykły trakt handlowy, wytyczony tu i ówdzie krzyżami z patyków. Spotykaliśmy dużo trupów padłych koni, pozostałości przechodzących tędy kupieckich karawan. Na łąkach całe tabuny żywych końskich szkieletów żerowały w głębokich, krętych, wykopanych przez nich samych rowach. Było to konie wczorajszych naszych gospodarzy lub ich towarzyszy. Ze zwałów śniegu wyglądały tu i ówdzie chude grzbiety zwierząt, lub podnosiły się stamtąd ich kosmate głowy, witając rzeniem nasz przejazd.

Nietylko konie i reny ale i leśna zwierzyna cierpiała od głębokich śniegów w tej okolicy. Koło końskich trupów śnieg bywał zwykle mocno udeptany licznymi śladami lisów, gronostajów i... zajęcy, gdyż nawet te gryzonie przychodziły zaspakając głód bydłącą padliną. Na jeziorze „Ebelach” spotkaliśmy koło końskiego trupa całe wilcze wesele, sztuk ze sześć olbrzymich, płowych wilków.... Jakut zaczął krzyczeć i stukał w patelnię, Aleksy strzelił na postrach z fuzji, ale bestje niewiele sobie z nas robiły, zajęte swoimi sprawami. Musieliśmy je dookoła tajgą objechać. Nie słyszałem o wypadku, żeby wilki tutaj rzuciły się na człowieka, lecz zdarza się, że uprowadzają konie, a raz w tej podróży prawie w oczach naszych rozszarpały nam rena. Dalszą podróż aż do Indigirki odbyliśmy już bez większych przygód. Jedynie ze względu na głębokość śniegów utrudniających odżywianie zwierząt, zarówno koni, jak i renów, musieliśmy zatrzymać się nie w *powarniach*, lecz w szczerem polu lub lesie, gdzie były najlepsze *żeremia*.

Choć zimno dochodziło do trzydziestu stopni w nocy, nie były to jednak wcale noclegi przykrzejsze, niż w „powarniach”. Wybieraliśmy zwykle miejsca zaciszne od wiatru, gdzie głębszy śnieg rozkopywa-

liśmy do czarnej ziemi łyżwami, które zawsze wiozł ze sobą przewodnik. W ten sposób tworzył się z wyrzuconych śniegów głęboki na chłopa dół, którego dno wyscierał grubo jodłowymi gałązkami. Gałązki pokrywaliśmy niedźwiedziami i reniferowymi skórami; to były nasze siedzenia i pościele. Pośrodku dołu rozniecaliśmy suty ogień, gotowali herbatę i strawę. W dole było dość ciepło ale wilgotno. Kładąc się spać, dorzucaliśmy na ogień dwie suche kłody, tak przyciosane, że przylegały do siebie wzdłuż, lub rozszczepialiśmy jedną wbitym w nią klinem. Taka kłoda, paląc się od środka, nie gasła w ciągu nocy, podtrzymując na całą swą długość przyzwoitą temperaturę. Kładliśmy się spać nogami do ognia, pokrywaliśmy się grubo zajęczymi kołdrami i futrami, których brzegi podwijaliśmy pod siebie, o ile nie mieliśmy tunguskich worków sypialnych. Na brzegach kołder umieszczaliśmy drągi, które ciężarem swym uszczelniały pokrycie. Dość przykre było rozbieranie się, gdyż sypia się w tych warunkach nago. Rzeczy i obuwie trzeba było wyrzucić na zewnątrz dołu, na śnieg, dla wysuszenia ich, inaczej groziło zimno a nawet odmrożenie ciała w czasie podróży nazajutrz w wilgotnym ubraniu. Pod futra trzeba było wślizgnąć się, jak Bóg stworzył. Puch futra przyjemnie laskotał skórę i grzał o wiele lepiej, niż przez bieliznę. Koniec kołdry zawijało się na głowę. Wstawanie było również przykre, ale trwało krótko i poprawiony ogień grzał silnie, sucha koszula rychło przy nim nabierała ciepła, a gorąca herbata pozwalała zupełnie opanować dreszcze. Najgorzej było temu, który wstawał pierwszy, a czynił to przewodnik jakut, zahartowany na zimno i przyzwyczajony do takiego obozowania od dzieciństwa. Przyzwyczailem się i ja, gdyż byłem młody. Gdy w parę lat potem wracałem z „leśnych kresów” na południe, nocowałem w ciągu całego prawie miesiąca w ten sposób, choć była zima i temperatura przeciętnie spadała poniżej 50° C. Ale tak bałem się, żeby mię jakiś wypadek nie zatrzymał w tej krainie ciemności i mrozów, że ze względu na lepsze odżywianie naszych wierzchowców, nocowałem stale w pustyni i w śniegach. I nie dostałem nawet kataru, a raczej dostałem go dopiero po pierwszej nocy, przespanej w ciepłej jurcie.

Głębokie śniegi i zimowa aura towarzyszyły nam aż do Indigirki, ale w dolinie tej rzeki już poczuliśmy gwałtowną zmianę. Na samej rzece, dwa razy tak szerokiej, jak Wisła, śnieg tak odtajał i rozmókł, że woda chlupała we dnie pod kopytami koni. Renów już nie można było używać do jazdy, ślizgały się, pozniały i słabły niezmiernie. Całą drogę dalej odby-

<sup>2)</sup> Pastwiska podśnieżne.

waliśmy konno. Na szczęście, w dolinie Indigirki już trafiały się sadyby, gdzie można było dostać siana. Za to straszono nas, że za grzbietem Alazejskim już są roztopy i idzie powódź.

Pośpieszaliśmy więc, aby dostać się do zamorskich okolic, gdyż tutaj połów ryb jeszcze się nie zaczął i groził nam wprost głód. Z naszej prowizji zostało jedynie parę cegiełek herbaty. — O ile droga była twarda i pozwalała na śpieszniejszy bieg koni, przebywaliśmy do 80 kilometrów dziennie. Ale droga zaczęła rozmiękać i psuć się bardzo. Łożyskami rzeczek niepodobna było podążać, tam już szumiała miejscami woda i lód kruszył się i zapadał. A na *badaranach* (błotach) głębokie śniegi tworzyły brudną kaszę, w której nogi koni tonęły często do kolan. Jeżeli dodamy do tego olbrzymie porastające błota kępy, to zrozumiemy trudności, hamujące ogromnie szybkość podróży.

Kiedy stanęliśmy nareszcie na Alazejskiej przełęczy, wysokiej wszystkiego na jakieś 500 metrów, krzyknąłem ze zdumienia, tak nieoczekiwany otworzył się widok. Zima jakgdyby pozostała za nami. Śniegi leżały tu i owdzie jedynie na zboczach i szczytach nielicznych wzgórz, a cała olbrzymia nizina była już ciemna i lśniła wodami. Słońce w południe przygrzewało tak mocno, że musiałem na piersiach rozpiąć kożuch.

— Ech, nie „dośpiejem“! — mruknął Aleksy. — Choćby dostać się na Andyłach, do księcia Apollona.... Przynajmniej z głodu byśmy nie umarli!.. Bo-ga-ty!..

— I córkę ma?

— Jakby pan wiedział, że ma!... — ożywił się kozak. — I też ją podobno w tym roku wyswatał!..

Roześmiałem się.

— Ależ ty tu, widzę, wszędzie masz rodzinę!..

— A gdzie się ma podziąć kozak - sierota?.... Czy to stać mię na własny dom?.. W dodatku w ciągłych rozjazdach... Żona będzie mię zdradzać z innymi... To już ja wolę tak, jak jest... Niech pan siada, jedziemy....

Powiesiliśmy po pęczku włosia z ogonów naszych koni na krzyżu, stojącym na samej przełęczy, obwieszonym sznureczkami, włosiem, szmatkami, paciorkami, darami Duchowi Ziemi z wdzięczności za dobrą podróż. Nasza niebardzo była szczęśliwa, ale... lepiej dać i ze złą siłą nie zadzierać!..

— Już raz miał pan nauczkę!.. — przypominał mi Aleksy. — Tu są inne sprawy, niż w „uniwersytetach“!....

Spuściliśmy się z gór w płaską i błotnistą krainę jezior. Temi jeziorami prowadziła najkrótsza i najlepsza stosunkowo droga, gdyż gruby lód na nich trzymał się jeszcze mocno. Ale z każdym dniem nadgryzało go słońce. Przed olbrzymiem jak wewnętrzne morze jeziorem Kałgyn zatrzymaliśmy się w niepewności. Już potworzyły się na niem tu i owdzie „zabrzeża“, tak że skorupę lodu oddzielały od ziemi kanały wody, wprawdzie nie szerokie, ale głębokie i mulaste. Łatwo było konia w niem utopić. Choć znaleźliśmy w jednym miejscu mostek lodu dość mocny, żeby nas uradzić i mogliśmy po nim dostać się na środek, przewodnik wahał się.

— A co, jeżeli z tamtej strony nie znajdziemy już przejścia!..

— Nie gadaj!.. Tydzień będziemy krążyli dookoła... A tak wieczorem będziemy na tamtej stronie!.. Co nie mamy przejścia znaleźć?.. Jak tu znaleźliśmy, tak i tam znajdziemy!.. Ruszaj!.. — huknął na niego Aleksy.

Milczałem, gdyż mego zdania od czasu zatargu z *Dajdy Iczzita* nie brano pod uwagę. Przebyliśmy jezioro doskonale i przejście przez „zabrzeże“ znaleźliśmy. Ufność moja do Aleksęgo znacznie wzrosła. Kozak znów był w romansowym nastroju i śpieszył się. Godzinami wyśpiewywał:

*Oj ty Duba - Dubaszok,  
Polubi mienia družok!*

A dokoła łąki, błota, lasy i szuwary budziły się, szumiały wody, rozlegały się głosy ptaków, wesołe pogwizdywania, kwakania, gęganie i krzyki żórawi oraz łabędzi, podobne do dźwięku trąb. Miljardy skrzydeł łopotały nam nad głowami, niosąc pierzaste stada ku dalekiemu morzu... Aleksy celnie strzelał, próbowałem i ja szczęścia i codzień mieliśmy gęś albo kaczkę na obiad... Dzień był długi, jak zimowa noc, i w jego blasku w oczach rosła świeża trawa i blado zielonym puchem pokrywały się lasy... Wszędzie pełno było wrzawy, ruchu i życia... Ptactwo małe i duże jak w upojeniu wrzeszczało, biło się między sobą o samki, kochało, żerowało, kłóciło...

Ale te szybkie postępy wiosny napełniały nas głębokim niepokojem. Do Kołymska pozostało zgorą 300 kilometrów... Mieliśmy przebyć jedną dużą rzekę Alazej i ze setkę małych....

— Te małe to są najgorsze, bo to wygląda, że przeskoczyć można, a nie puści... Głęboka i wartka, a brzegi ma teraz strome... Utopi jak nic konia i człowieka!.. — skarżył się kozak.

Księcia Apollona nie było, pojechał do miasta. Żona jego, rozsądna niewiasta, przyjęła nas bardzo uprzejmie, ale radziła zaraz wyjeżdżać:

— Jeszcze zdążycie!.. Dam wam dobre konie, nie nocując, dojedziecie do Alazeja... Tam wam dadzą świeże konie. W cztery dni będziecie w mieście!..

— A gdzie są dziewczęta?.... — spytał nagle Aleksy.

— U stryja Andrzeja, na tamtym końcu doliny. Wysłałam je, gdyż bardzo prosił o pomoc przy połowie płotek... Chmarą płyną pod lodem... — dodała pośpiesznie.

Kozak skrzywił się.

— Długo tam zostaną?..

— Długo. Aż się skończy „chód“ ryby...

— Cóż, pojedziemy?.. — zwrócił się do mnie kozak.

— Choćby zaraz!.. — odrzekłem.

— Zanim zjecie obiad, konie przyprowadzą!.. — upewniała nas Apollonowa.

— Chytra baba, schowała dziewczynę! Ale ja ich urządzę, tak im „zgonię“ konie, że popamiętają!.. wygrażał się „Trójwargi“, gdyśmy wyjeżdżali już z sadyby księcia. Konie istotnie były doskonałe, w miarę tłuste, w miarę wypoczęte i mocne, a wyznaczony nam przez gospodynię przewodnik był jeźdźcem niemniej zuchwałym i wybornym, niż Aleksy.

Dzięki temu, szybkim skoczem, a gdzie droga już stwardniała i obeschła nawet kłusem przebyliśmy w trzy popasy, bez snu, 150 kilometrów, dzielących Adyłach od stacji Małoj nad Alazejem.

Tutaj położyliśmy się na chwilę przespać, a tymczasem posłano w step po konie. Do Kołymska zostało 150 kilometrów. *Dżjachabyt* mocno kręcił głową, dowodząc, że zatrzymają nas rzeczki, lecz w Aleksym już się obudziła kozacza ambicja i ja byłem jeszcze wtedy chciwy na przygody...

— Niedźwiedzie was zpedzą i konie mi poszarpią!.. — straszył nas *dżjachabyt*. — Zostalibyście!.. Ryb mam dużo i dobre!.. A wy pewnie macie tytoń!..

— Mamy, ale dla siebie!... Co twoje ryby teraz warte: jak nie zjesz, to zgniją!... — odcinał się Aleksy.

— Żona stara!... Zdechlibyśmy tu z nudów!... — tłumaczył mi, gdyśmy już wyjeżdżali z sadyby.

Ażalej przebyliśmy łatwo, ale dalej droga istotnie była fatalna. Strumienie wezbrały i zamieniły się w rwące rzeczki. Długo nieraz musieliśmy szukać brodu. W jednym miejscu przewodnik o mało nie utonął z koniem; w drugim, koń rzucił do wody juki z rzeczami i parę godzin straciliśmy, wyławiając je z dna i susząc na słońcu, w trzecim niedźwiedź położył się przy samym brodzie i choć tłukliśmy z całych sił w patelnię i darli się wniebogłose, nie ustąpił, łypał tylko na nas ślepiami, wykopywał z ziemi korzenie i chciwie je pożerał.

— Sardane<sup>1)</sup> znalazł, stary!... Nie odejdz!... Trzeba innego brodu szukać!... Nie najeżdżaj pan!... Jak się rozgniewa i do nas tu przypłynie, będzie źle! — krzyknął Aleksy na mnie, kiedy podjechałem bliżej do rzeczki, aby się zwierzowi przyjrzeć. Wskutek tych przeszkód i naddatków spędziliśmy w drodze nie dwa dni lecz cztery i zrobiliśmy 70 kilometrów więcej. Zjedliśmy całą naszą prowizję i ostatnie półtora dnia jechaliśmy o głodzie.

— Byle tylko woda nie zniosła mostu pod miastem, bo rzeczka tam... „gniewna“, brzegi ma urwiste, nie puści nas! — troskał się Aleksy. — Wstyd byłoby w obliczu miasta nocować. Wyśmiałyby nas kołymskie dziewczęta!...

Lecieliśmy więc, skoro tylko suchsza pozwalała droga, dobrego kłusa, nie pijąc i nie śpiąc. Takie było moje przygotowanie do polskiej czasem kawalerji!

Zatrzymywaliśmy się jedynie co dziesięć kilometrów na kilka minut, zsiadaliśmy z siodeł, odpuszczali popręgi i pozwalali koniom odsapnąć... Czasami dawaliśmy im garść suchej trawy, zerwanej przy drodze...

1) Słodki jadalny korzeń — *lilium spectabile*.

W ten sposób, szalenie zmęczeni, dopadliśmy w samą porę niebezpiecznego mostu. Woda już płynęła górą po dyłowej naściółce, która chlupała, szarpana przez prądy, jak klawisze. Most dygotał pod parciem mętnych fal. Głęboki parów pełen był po wręby spienionych wirów. O przebyciu wbród tej rzeki mowy być nie mogło.

— Daj, ja pierwszy, za mną „tajon“, a ty na końcu!... — zawyrokował Aleksy, zwracając się do przewodnika.

Gdy przejeżdżał, można się było obawiać, że most z nim runie. Przebył go jednak szczęśliwie. Mój koń nie chciał wejść na most, a potem strachał się i rzucał, gdy woda mu z pod dyli chlupała na kopyta, — uspakajałem go, gładząc po szyi, gdyż drżał wciąż i strzygł uszami. Nietyle bałem się o siebie, gdyż umiem dobrze pływać, ile żał mi było konia, który utonąłby bezwarunkowo wraz z awalenia się mostu od jego skoków. Jakoś jednak udało się dobrać do końca bez wypadku. Najgorzej było z przewodnikiem, który prowadził za sobą jucznego konia. — Przebył już połowę mostu, kiedy ten zaczął się z trzaskiem chylić.

— Prędejj!... Prędejj!... Popędź!... — krzyknął nań Aleksy.

Chłopak obejrzał się i batem konia trzasnął. Wierzchowec jego, nigdy nie bity, gdyż jakuci koni nie biją, — dał szczupaka i szarpnął mocno, idącego za nim jucznego. Ten już się obsuwał w tył po chyłącym moście, lecz szarpnięcie uratowało go. Za chwilę cała nasza karawana była na brzegu. Aleksy zdjął kudłatą czapkę i przeżegnał się:

— Chwała Bogu!... Jeszcze będziem dziewczki kochać — dodał, wskazując ręką na wzgórki, gdzie poza gęstwą wikliny, przez którą jechaliśmy, widniało kilkadziesiąt rozrzuconych budowli.

Blask słońca gorzał w szklanych oknach, a wieża cerkwi wznosiła się ponad domami...

K O N I E C.

ALEKSANDER ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

## BEZ SERCA.

26)

Czerwiec, 1888 r.

Nie mogłam ostatniego listu dokończyć. Niejeden już list otrzymałeś odemnie bez zakończenia; bo obawiam się, aby te zakończenia nie stawały się kropkami nad i. Więc je urywam lub wogóle nie wysyłam. Przy ostatnim niedokończonym liście uciekłam na ulicę — spragniona morfiny Paryża, który tylokrotnie już potrafił upijać mnie do zapomnienia.

Umęczona najboleśniejszą handrą — postanowiłam użyć dozy najsilniejszej, takiej, jaka stanowczo już nie zawodzi; i wybrałam Plac Zgody, Pola Elizejskie, Avenue du bois.

O! Ten najcudowniejszy na świecie Plac Zgody! Znasz wprawdzie jego smak, lecz kosztowałeś go tylko; a jadać go trzeba łyżkami, choć splamił się krwią tysięcy zgilotynowanych na czele z kabotyńskim Robespierrem, z naiwnym królem i z na czarno przemalodramatyzowaną jego małżonką, austriaczką, piękną córą Marji Teresy, sławną Marją Antoinetta.

Obalono też zdaje się wtedy ustawiony w po-

środku placu bardzo piękny pomnik króla słońca. Choć nie wyobrażam sobie, aby mógł on świecić jaśniej od majestatycznego obecnego obeliska — staruszka, liczącego już kilka tysięcy wiosen, zahieroglifowanego ramzesowskiemi panegirykami. Podarował go wspaniałomyślnie vice król Egiptu Ludwikowi Filipowi; ta dedykacja jest zdaje się największem dziełem pocziwego królika prawie że z Konopji Filipa. Staruszka, starego rezydenta Placu Zgody chłódzą fale wód, wypływających z cudnych kamiennych Nereid i Trotonów i strzeże osiem pradierowskich olbrzymich kobiecych postaci; allegoryzują one główne miasta Francji, pomiędzy niemi i Strasburg od 1870 roku w czarnej krepie narodowej żałoby, z powodu niewoli niemieckiej.

Lecz najpiękniejszą ozdobą tego metaplacu — to perspektywa cudnych dzielnic, zakańczających z czterech stron ten cud nad cudami. To z jednego profilu, jaśniejący zdala swoją monumentalną fasadą kościół św. Magdaleny. To — nie mniej harmonijnie rozkłada-

jąca się vis à vis Izba Deputowanych. A tam znów falują ku górze barwną wstęgą Pola Elizejskie i Place de l'Etoile, żyjący (jak wszystkie place paryskie) swemi perspektywami spływających do niego kilkunastu najwspanialszych ulic: Avenue Hoche, Du Wagram de la Grande Armee, Wiktor Hugo, Kleber, d'Jena.... Przepych, zakończony nie byle czem, bo łukiem Zwycięstwa. Ten kolos z płaskorzeźbami Rude'a, Lemaire'a, Cortota i t. d., którego monumentalność zapożyczył Napoleon dla swego cesarstwa z Rzymu (bo pogoda i wdzięk Greków mu nie wystarczały) — stanowi ramę, przez którą prześwieca obraz Pól Elizejskich.

O! Te Pola Elizejskie z tarasami, wodotryskami. Równie piękne w nastroju ciszy porannej z martwemi pustemi ławkami, ze świergotem ptactwa i dzieciaków, harczących wśród zieleni drzew i trawników, jak w święta i w dni uroczyste z przelewającemi się oceanami tłumów, którym udało się zdobyć wszystkie ławki i tysiące wynajętych krzesełek, ustawionych jedno przy drugim.

I ten most cesarza Aleksandra III, błyszczący, jakby wschodnim przepychem złota swoich posągów i krawędzi... I te stale przypatrujące się sobie miłośnicie dwa cacka, najmłodsze dzieci Paryża: Grand palais i Petit palais. Jeden z wielu articles de Paris. Jeden z wielu dowodów paryskiego wdzięku, gustu, smaku, poczucia barw, linii i harmonji.

O! Ta Avenue du bois i lasek buloński z jego pagórkami, jeziorkami, kaskadami i alejami, pełnemi słomianych foteli, z których z *Matin'em* w rękę przypatrujesz się jeźdźcom, sunącym ku wązkim drożynom ze swemi partnerkami amazonkami z *monde'u*.

A oto sunie uroczyste weselny orszak: szereg ostatnich wynajętych karet. To obowiązkowy poślubny spacer umiartowanych małomieszczkańskich oblubieńców i zaproszonych gości. Z karetowych okien wyglądają pocziwe miny odświętnie ustrojonych ciotek, teściowych, chichoczącej młodzieży i uroczystych ojców i wujów, stęsknionych do czekających ich dopiero po spacerze obfitych libacji, które nęcą ich bardziej od innej rozkoszy, cierpliwiej wyczekiwanej przez uroczyste zawstydzonych nowożeńców.

Lecz lasek buloński — to już trochę eskursja. Nie zawsze wystarcza mi czasu na taką eskapadę. Moją parafją jest ogród luksenburski, tuż koło Odeonu. Bywam tam stale we wtorki na moich ulubionych koncertach wojskowych, które nic nie kosztują. Odbывают się przed pałacem luksenburskim — który, choć przypomina nieco pałac Pittich we Florencji, lecz jest nawskroś francuski ze swoim wdziękiem, niezależnym od całej powagi przeżyć, jakimi wydają się przepelnione wszystkie stare gmachy, imponujące swemi zarówno złemi, jak i dobrimi tradycjami, dumne z tego, że mają swoją historję.

Bo nie chwałąc się tem, ani wstydząc, pałac ten więził w swoich murach malarza napoleońskiego Davida i — nie bagatela — samą panią Józefinę Beauharnais. Podczas rewolucji rezydował tu Danton, Desmoulin i t. d.

Lecz nie chcę myśleć o wszystkim, co znikome. Chcę delectować się jedynie tem, co wieczne. A wiecznem jest tylko natura i sztuka.

Nigdzie nie czuję się bardziej we Francji, niż w Luksenburgu; w tym w najczystszy styl francuskim ogrodzie luksenburskim ze strzyżonemi szpalerami, z powierzchnią nie doprowadzoną do wspólnego mianownika, lecz z piętrzącemi się tarasami i kwietnikami o barwach, które aż rażą swoją siłą czerwieni,

fioletów, szafirów i złota — oko człowieka, zrodzonego pod chmurnem niebem północy.

O! Te srebrzące się w brylantach południowego słońca wśród wyhodowanej podzwrotnikowej flory marmury niezliczonych posągów w ilości, w jakiej wiele państw w swoich wszystkich wziętych razem murach nie posiada.

I tych dwadzieścia uroczych Francuzek, począwszy od staruszki z V-go stulecia Św. Genowefy, skończywszy na strojnej damie wieku XVII-go pani de Montenpensier! I ta cudna grupa dzieci z XVIII-go stulecia! I w cieniu drzew pomnik wytwornego poety Leconte de Lisle'a, przy płodnej duchowo Georges-Sandowej i Szopena, który w swojej ojczyźnie dotąd nie doczekał się go; bo my łatwiej wydajemy pieniądze na sute wesela i na bardzo kosztowne pogrzeby sławnych ludzi, niż na ich pomniki. W podobnie suto stypowy sposób uczciliśmy już poza Szopenem i Matejkę, i Prusa, i Moniuszkę, i Sienkiewicza. Choć te pieniądze starczyłyby na spiżowe posągi.

A posągi Eugenjusza Delacroix, Sainte-Beuve'a, Teodora de Banville'a, Henri Murger'a! Uf! Kto by ich tam wszystkich zliczył. Bo całe narody, jak oddzielni kulturalni ludzie, wiedzą, na co pieniądze wydawać.

A wodotrysk Medyceuszów, a fontanna Ledy i pyszne kopje Borghezowskiego szermierza, Palata i Wersalskiej Djany!

Lecz najbardziej francuskim, z tego nawskroś francuskiego ogrodu, znanego nam na pamięć z tysiącznych reprodukcji, począwszy od starych sztychów do ostatnich akwafort plenerzystów, futurystów i kubistów, jest sztafaż ogrodu luksenburskiego: Te umizgi żołnierzy z jarzącą w słońcu czerwienią swoich charakterystycznych kepi i szkarłatem rubinowych pantalonów do rozkochanych wywstażkowanych „*nounoux*“, kołyszących w wózkach dziecięcych wykoronkowane jak lalki niemowlęta.

I inne niezliczone, brane stąd przez wszystkich malarzy całego globu ziemskiego motywy sztafażu na tle ogrodu luksenburskiego. Wiecznie ta sama, pomimo zmiany kroju sukien, szykowna gryzетка, czy szwaczka. Wiecznie te same, (nie wiem, jak przez obecnych kubistów zwane) typy starych francuzów z *Quai Voltaire*, wśród których odgaduję Anatola France'a lub znanego mi z pysznego portretu Bonnat'a — pana Leona Coignet, lub Blache'owskiego Paul Adama.

Spieszę, aby rzucić swoją kartę wizytową oranżerji pałacowej od ulicy Vaugirard i aby rzucić kilka pocałunków moim kochankom, zanim śmierć przeniesie ich z galerji luksenburskiej do bardziej zaszczytnej siedziby w Luwrze.

Bądźcie zdrowi moi kochankowie, jakich nie posiadają królowe! Bądźcie zdrowi wy najwięksi z największych panowie: Claude-Maunet, Césanne, Pissaro, Renoir, Rafaelli, Sisley i wy najslawniejsi ze sławnych etranżerów: Whistler, Sargent, Mesdag, Segantini, Lieberman i Zuloaga.

Kocham was. Was nie zadawalnających się ogarkiem własnego podwóreczka, lecz świecących pochodniami, oświecającemi świat cały!

Kocham was, Was nieśmiertelnych! I uciekam do swojej mrówczej pracy, jako do kolców życia, bez których niema róż na świecie. A różami i kwiatami jest jedynie sztuka. Żal mi ludzi, którzy zapachu tego kwiatu nie czują.

(D. c. n.).